

„Sztuka jest zaklaniem istnienia” – jubileusz literacki Julii Hartwig

Iwona Smolka: Witam państwa w imieniu Warszawskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Domu Kultury Śródmieście na jubileuszu literackim Julii Hartwig. W 2008 roku powinniśmy świętować siedemdziesiąt rocznicę bardzo wczesnego debiutu tej autorki, ponieważ w 1938 w szkolnym pisemku „W słońcu” ukazał się pierwszy wiersz poetki – nie była ona wtedy jeszcze nawet maturzystką. W roku 1944, a więc sześćdziesiąt pięć lat temu, w Lublinie, na łamach „Odrodzenia” opublikowany został kolejny utwór poetycki uznawany za właściwy debiut Julii Hartwig, a dziesięć lat później pierwsza książka prozatorska, reportaż *Z niedalekich podróży*. W 2009 roku mija od tego czasu pięćdziesiąt pięć lat. Powodów do świętowania nie brakuje. Pierwszym tomem poetyckim jubilatki były *Pożegnania* (1956), zaraz potem światło dzienne ujrzała monografia *Apollinaire* (1962). Następnie opublikowane zostały tomy *Wolne ręce* (1968), *Dwoistość* (1971) oraz kolejna wielka praca monograficzna zatytułowana *Gérard de Nerval* (1972). Potem wyszły drukiem tomiki *Czuwanie* (1978) i *Chwila postoju* (1980), a także w tym samym roku – *Dziennik amerykański*. Wreszcie przyszła pora na tomy: *Obcowanie* (1987), *Czułość* (1992), *Zobaczone* (1999), *wybory: Przemija postać świata* (1999), *Zawsze od nowa: 100 wierszy* (1999).

Julia Hartwig napisała też wielki tom *Podziękowanie za gościnę*, który jest prowadzonym z wielkim zaangażowaniem dziennikiem lektur, przemyśleń, opowieści o tym, jak zaczął się wiek XX w sztuce, jak rodziły się jej poszczególne prądy i kierunki. Od tej pory coraz częściej w wierszach poetki pojawia się słowo wdzięczność. To wdzięczność w stosunku do malarzy, pisarzy, muzyków i tych wszystkich, którzy tworzą świat kultury. *Podziękowanie* adresowane jest także do natury, tego, co nas otacza, emanuje życiem. W 2001 roku ukazują się *Zawsze powroty – dzienniki podróży* (osadzone w kontekście francuskim) oraz *Nie ma odpowiedzi* – tom poezji. Rok później wychodzą *Błyski*, a potem w 2003 niezwykle poematy prozą *Mówiąc nie tylko do siebie*. Natomiast *Błyski* (2002), *Zwierzenia i błyski* (2004), *Trzecie błyski* (2008) to osobny gatunek poetycki stworzony przez autorkę. Tę długą listę domykają tomy *Bez pożegnania* (2004), *To wróci* (2007), szkice wspomnieniowe *Wybrańcy losu* (2006) oraz liczne tłumaczenia pióra poetki.

W 2009 roku ukazał się tom przekładów Williama Carlosa Williamsa *Spóźniony śpiewak* oraz wiersze Julii Hartwig *Jasne niejasne*. Zawdzięczamy jej także wielką antologię poezji amerykańskiej *Opiewam nowoczesnego człowieka* przygotowaną wspólnie z Arturem Międzyrzeckim. Dzięki Julii Hartwig możemy czytać po polsku wiersze poetów francuskich, między innymi Blaise’a Cendrarsa, Guillaume’a Apollinaire’a, Jules’a Supervielle’a, Maxa Jacoba, Pierre’a Reverdy’ego, Henry’ego Michaux. Do tego dochodzą: proza Elsy Triolet, Louisa Aragona, Théophile’a Gautiera, Jeana Marcenaca, pisma

filozoficzne Denisa Diderota. Mamy też tłumaczoną wspólnie z Arturem Międzyrzeckim korespondencję Rimbauda *Ja to ktoś inny* oraz listy George Sand do Fryderyka Chopina i do dzieci. Jubilatka jest także autorką wielu książek dla najmłodszych czytelników.

Ważną część twórczości Julii Hartwig stanowią szkice, czego przykładem może być wstęp do *Dzienników 1927–1969* Anny Kowalskiej, który chciałoby się nazwać lekturą czutą i uwrażliwioną na to, co najważniejsze. W jednym z esejów z tomu *Pisane przy oknie*, będącego pokłosiem trzyletniej, regularnej współpracy poetki z „Więzią”, autorka napisała: „literatura jest podróżnikiem”. Sądzę, że sama Julia Hartwig, wędrując razem z literaturą, stała się wielką podróżniczką, przekraczającą wszystkie możliwe granice. Nie chodzi mi tylko o podróż po Europie i po świecie, lecz także o podróż w głąb kultury i myśli ludzkiej. Czy uważasz siebie, Julio, za podróżniczkę?

Julia Hartwig: Chętnie bym nią jeszcze była, ale nie widzę już dla siebie zbyt wielkich możliwości podróżowania. Zawsze z przyjemnością podróżowałam, jeździłam tam, gdzie chciałam pojechać. To nigdy nie był przymus.

Iwona Smolka: Chciałabym jeszcze przypomnieć o nagrodach przyznanych Julii Hartwig. Zastanawiam się, czy jest jakaś nagroda, którą jubilatka nie była uhonorowana.

Julia Hartwig: Lepiej pomińmy te nagrody.

Iwona Smolka: Dobrze, pominiemy. Zatrzymajmy się w takim razie na chwilę przy Twojej poezji, która zachwyca kontrastem widocznym już w tytułach wielu wierszy i tomów, czego przykładem może być *Dwoistość*. Odsłaniaasz w tekstach to, co oswojone i dzikie, jasne i ciemne, uładzone i nieokiełznane jako żywioły istniejące w nas i wokół nas. W powszedniości odnajdujesz rzeczy niezwykłe, a wszystko, co szalone, ciemne, dzikie, znajduje uspokojenie w rygorze formy poetyckiej, jasności myśli, precyzji języka, klarowności obrazu. Dopełnia je przenikliwość w ocenie rzeczywistości. Wiele wierszy Julii Hartwig wyrasta z zaangażowania społecznego, inne poświęcone są przyjaciółom poetki, którzy byli dla niej ważni, bo zmieniali zarówno to, co nas otacza, jak i obraz naszej kultury.

Julia Hartwig: Dziękuję ci, Iwono, że wykonałaś za mnie ten literacki rachunek sumienia. Rzeczywiście zawsze pisałam dużo, zwłaszcza ostatnio. Wynikało to z silnej potrzeby – wiele spraw chciałam sobie uświadomić. To prawda, w niektórych wierszach atakuję rzeczywistość, choć bardzo nie lubię atakować. Są jednak sprawy tak nieznośne, że nie można ich pominąć milczeniem. Ponieważ poezja zawsze odbija się od ziemi, nie powinna odbijać się od społeczeństwa. Trzeba jednak uważać, żeby z tym nie przesadzić i znaleźć odpowiednią formę. Wyznam państwu, że trochę broniłam się przed tym jubileuszem, a teraz jestem bardzo szczęśliwa, że właśnie się odbywa i że państwa widzę.

Iwona Smolka: Przeczytaj proszę, Julio, kilka wierszy.

Julia Hartwig: Wybrałam teksty z różnych epok: wiersze-znaki moich przemyśleń poetyckich z kilku okresów. Na początek trzy krótkie prozy poetyckie ze zbioru *Mówiąc nie tylko do siebie*:

* * *

„Pod tą wyspą jest inna wyspa, może jeszcze piękniejsza.
Ku niej szybuje uśmiechnięta pływaczka, łącząc błyskawicznym łukiem skałę, powietrze i wodę.
Chciałabym widzieć cię naraz ze wszystkich stron, stworze, fragmencie, zawierucho, wspaniały
oblędzie jasnego umyśtu”.

* * *

„Nie zastałem was. Tylko na werandzie płótno leżaka wzdymało się od wiatru.
Gdzie poszliście? Widok z waszego domu na góry potężniał, nie wyczerpany waszym wzro-
kiem.
Groźniały szczyty, nie osławiane waszą obecnością. I wokół domu pachniała zbyt mocno łąka
unoszona na skrzydłach pszczoł.
Zatkaną kartkę w wasze drzwi”.

* * *

„Najpiękniejsze jest to co jeszcze nieskończone
Niebo pełne gwiazd niezapisane jeszcze przez
astronomów
szkic Leonarda i urwana wzruszeniem piosenka
Olówek pędzel zawieszony w powietrzu”.

A teraz bardzo stary wiersz:

Napiętnowanie jesieni

„Jesień to nie melancholia to wściekłość
co rok powtarzana próba końca
Wyprute wnętrza ziemi
na wierzchu buraki kartofle i brukiew
co się kryło przed światem wydane jest na łup człowieka
woda ze stawów spuszczone ławice karpi wyrzucone na brzeg
drzewom urywa głowy wiatr gną się zmierzwiłone nieprzytomnie
i aż do horyzontu zapach ziemi mdły i miłosny
rozszerza nozdrza koniom
ciągnącym fury wyładowane jak wozy wygnać
Zdarte przemocą z drzew liście budzą żal tak gwałtowny

że chciałoby się gnać razem z nimi
z tym wszystkim co odchodzi a próbowało żyć
w nadziei nieśmiertelności
Pożary czerwieni brzozywybuchy dębów
i deszcz poganiający wszystko co spotyka w marszu
Naprzód wygnańcy Naprzód
Tłumy zapędzone pod dachy
ostatnie zwierzęta szukające zimowego schronu przed chłodem
a potem mgły spadające kurtyna za kurtyną
zbielały horyzont złudnych gór z których samobójczy skok
uczynimy wraz z listopadem
prosto w grudniową noc”.

I jeszcze jeden wiersz napisany we Francji:

Listopad

„Nieruchome nogi wierzb nad wodą
gdy zanurzone gałęzie chciałyby popłynąć
ktoś niewidoczny gra na flecie
ale na moście nie widać nikogo
Po co tu wracać po latach
i jak znieść tę równowagę piękna
to szerokie niebo które na swoich barkach trzymają
szacowne kamienice Wyspy Świętego Ludwika
Rzeką płynie statek z cichym warkotem
akrobata ćwiczy trudne salto na nadbrzeżu
drży skóra wody pod dotknięciem słońca
i łagodny oddech powietrza towarzyszy ci w drodze
przez smużący liśćmi listopad
Nie mów o tym co tu zostawiłeś
nie mów o tym co wspominasz
w tej rzece utopiły się tysiące serc
tą mgłą wspomnień można by obdzielić cały kontynent”.

Kolejny wiersz, który powstał we Francji:

Niecierpliwa

„Wieczorem czekaliśmy w bistro aż nadejdzie pora wieczora,
siedzieliśmy w bistro przy winie aż nadejdzie północna pora,
aż się hotel uciszy, stróż nocny uśnie nad stołem.
Była niedziela, wstępowali do knajpy wędkarze po dziennym połowie,
tania jest szklanka wina.
»Bonsoir, messieurs, dames!« W kącie klaszcze kartami dwóch graczy.
Od drzwi wwiato liście kasztanu.
Senna jestem. Gdyby pójść do domu.
Ale jeszcze spotkanie jest w pełni, jeszcze spełni się trud i spoczynek.
Mali chłopcy już leżą pod kołdrą, matka czuwa nad snem małych dziewczynek.
A my źle nad sobą czuwamy. Trzeba bardzo by się spieszyć z płaczem,
by na radość mieć już suche oczy.
Ach, podróżni bądźcie wytrwali, miłość taka jest jaką być umie.
Kot przeciąga się przez sen, drzwi głośno zatrzaskną wiatr”.

I już ostatni wiersz w tej serii:

Jestem tam znów

„Wracając w znajome okolice
dzielić słodczy przeszłości
z gniewem smutkiem ze sprzeciwem
i zwierzęcą rezygnacją
Te kroki po schodach w ogrodzie Bellagio
są na zawsze wyrzeźbione w powietrzu
Głosy wpadły w jezioro
zamknęła się powierzchnia wody
A może uleciały w górę
Tak czy inaczej nie ma siły
by je sprowadzić na ziemię
A przecież obeliski cyprysów
zapowiadały już wówczas przyszłość
ale nikt nie słucha głosu przestrogi
Złe wróżki płyną łodzią
odliczając wiosłami czas
zrywa się nagła burza
i ulewny deszcz zmywa to co przeszło
zawsze teraźniejszy
i nieciekawych śladów”.

Iwona Smolka: Napisałaś *Zawsze powroty* i *Bez pożegnania*. Twoja poezja sprawia wrażenie, jakby zataczała koło powrotami do tych samych miejsc i krajobrazów, ale w poszukiwaniu nowych wzruszeń, odmiennych sposobów widzenia. Czy ten powrót jest dla ciebie koniecznością?

Julia Hartwig: To jest moje życie. Ono tak wygląda. To ciągle powroty do pewnych stanów, powroty lektur, miast, miejsc i ludzi.

Iwona Smolka: W szkicach *Pisane przy oknie* zauważyłaś, że w tych powrotach bohaterowie literaccy egzystują obok realnych postaci pojawiających się wokół ciebie i są tak samo ważni. Masz do nich podobnie emocjonalny stosunek. Jaka musi być lektura, by można się było w nią aż tak zaangażować?

Julia Hartwig: Jeśli nie udało nam się zaangażować, to znaczy, że nie warto było czytać. W moim życiu, pewnie podobnie jak w życiu niejednego człowieka, sztuka odgrywa taką samą rolę jak rzeczywistość. Jest jej dopełnieniem, stale nam towarzyszy. Jeżeli interesuje nas malarstwo lub czytamy wiersze, stają się one częścią naszego życia. Nie oznacza to, że nie oddzielam sztuki od rzeczywistości. Uważam je za duet. Mierzymy życie przy pomocy sztuki.

Iwona Smolka: Proszę pana Wojciecha Kaliszewskiego o wygłoszenie pierwszej laudacji.

Wojciech Kaliszewski: Julia Hartwig jest doskonale obecna w swojej poezji. Jej liryczne, wewnętrzne widzenie tworzy bowiem nie tylko poetyckie obrazy, obramowane granicami wersów, zdań i poematów, lecz także otwiera, biegnącą poprzez czas, przestrzeń ogarniającą świat – ten świat, który człowiek nazywa zazwyczaj swoim. Ta przestrzeń, niczym oś, rozciąga się od „tam” do „tutaj”, od kiedyś do teraz, tworząc geografie rzeczywistych i nierzeczywistych podróży, przecinając i zbliżając do siebie:

„mój ulubiony pejzaż Nowosądeckie Prowansja czy może
nieznana Nadrenia”.

Każde z tych miejsc – a jest ich w wierszach Julii Hartwig znacznie przecież więcej – daje poczucie oparcia i pewności, że się jest, że świat mimo czasu i dramatycznych napięć pozostaje rozpoznawalny.

Julia Hartwig nigdy nie wątpiła w to, że jest częścią tego świata, swoje wiersze zawsze traktowała jako jego ważną część. Dlatego lepszym określeniem od obecności – pozwalającym więcej wytłumaczyć i zrozumieć – wydaje się współobecność. Wiersz jest mową współczującą, znakiem współobecnym, gotowym objawić się zawsze wtedy, kiedy zostanie przywołany. I za każdym razem, w lekturze, odnawia się źródło, które go stworzyło, wybijające wprost z granicy między tym, co było, i tym, co przyjdzie. Ta „graniczność” wydaje mi się cechą ważną i szczególnie wyrazistą już u samych początków poezji Julii Hartwig. Jej – choć nie tylko przecież jej – towarzyszy w połowie XX wieku poczucie wielkiego pięknięcia. Z tej ciemnej szczeliny, z czasu skruszonego wynurza się więc pokoleniowe poczucie samotności. Oto – można śmiało powiedzieć – śmierć Józefa Czechowicza jest znakiem takiego pięknięcia. Po tamtej stronie został więc jakby znieruchomiał i oniemiał, głuchy teraz na wszelkie przywołania Lublin.

Przeszłości nie da się już objąć jednym spojrzeniem, nie da się także wyśpiewać prostej pieśni pożegnalnej. Słowa odbijają się od martwych ścian opuszczonych domów. To są straszne granice, a życie w czasie pękniętym staje się upiorną grą z pamięcią i uczuciami:

„Zagłuszcacie mnie krzykiem, śmiechem, dźwiękiem bitego szkła.

A jednak wołam ze zjeżonymi włosami i usta moje
poruszają się jak usta głuchoniemej, która podczas bankietu
zobaczyła skrzydło nadlatującego pożaru”.

Apokaliptyczna groza tego obrazu sprawia wrażenie, jakby nie miała się nigdy skończyć. Pożar raz wzniecony wyruszył – mówi poetka – na bezlitosną krucjatę przeciwko wszystkiemu, co żyje. Z takim bagażem nie sposób byłoby iść dalej, gdyby pamięci nie przykryła niepamięć:

„Wyschło pióro Nadzieja jest jak żagiel biały
Pod którym morze kłębi się i nie wysycha
Ty jesteś jak dłoń moja wciąż ze mną i we mnie
Biegnę ty we mnie kreślisz niewyraźne znaki
Których odczytać nie chcę nie śmiem nie potrafię
Ochodząc więc bezsilna dojrzałością gardzę
Kiedys też było morze”.

Morze zaciera ślady, nie obiecuje wprowadzić niczego, ale odgranicza tamto przeszłe od tego, co jest teraz. Życie odradza się w rytmie wielkich przypływów, a obmyty ład ponownie zostaje zaludniony. Ten wiersz kończy się zatem oczywistym rozproszeniem mroku i ciemności:

„Nad mroczną boją smutku który się oddala
Twoja twarz gasi świecę i słońce zapala”.

Rytm trzynastozgłoskowca symbolicznym splotem łączy ten obraz z tradycją poezji epickiej, jedynej formy zdolnej unieść opowieść o losach i wielkich ludzkich doświadczeniach. Rytm wiersza jest wiązaniem konstrukcyjnym zdolnym podtrzymać napięcie, jakie towarzyszy człowiekowi w jego ziemskiej drodze. Ten rytm w wierszach Julii Hartwig będzie się zmieniał, będzie wypływał z samego środka przeżycia. Będzie łączył śmierć z życiem i nabierał cech osobistych. I to jest kolejna granica, do której Julia Hartwig dociera w swojej poetyckiej wędrówce. Ponad chmurami, ponad ciemnością pojawia się światło. Morze łagodnieje, sprzyja życiu, górskie stromizny stają się człowiekowi bardziej przychylne. Przestrzeń wypełnia się teraz pochwałą świata i nierzadko – zwykłego przedmiotu, który pozwoli nie wątpić w dobrą wartość przemian zachodzących w świecie nie większym niż pokój, mieszkanie, dom. Czy może być wspanialsza pochwała niż, renesansowy nieomal, zachwyt nad przybyciem do domu starego bretońskiego kredensu?

„Kiedy ciemny jak skała, pachnący solą i chlebem
Stanął w kącie naszego domu, cały dom się rozśpiewał
Głosami, które dotąd nie rozbudzone spały.
Śpiewały sprzęty wszystkie

Głosami swoich drzew macierzystych dawno
zapomnianymi”.

Ożywienie, a nawet upersonifikowanie jakże przecież pożytecznego sprzętu domowego jest wyzwaniem rzuconym czasom marnym, głupim w swojej prymitywnej bezduszności. Pieśń pochwalna na cześć kredensu to oczywisty manifest akceptacji świata życia, narodzin i swobodnej gościny, to głos potwierdzający istnienie wspólnej wszystkim bytom – ożywionym i nieożywionym – sprawiedliwej i wynikającej z pełnej wolności więzi. O takim – pełnym lirycznego napięcia i narracyjnej zarazem przejrzystości – poetyckim powitaniu bretońskiego kredensu decyduje niewątpliwie także przekonanie o moralnych powinnościach poety. To sprawa etyki i poetyki, które w twórczości Julii Hartwig łączą się znacząco we wspólnej – niełatwej – perspektywie, scalającej „ułomny dzień i nie doczytaną noc” w jeden wątek. Nic nie może bowiem umknąć z tego świata niezauważone i pominięte. I ten, kto naprawdę chce słuchać, może usłyszeć słowa, które kiedyś zostały wypowiedziane. Żyją one ciągle w starym bretońskim kredensie niczym w księdze:

„Zna on chód zwierzęcia, słyszał ryk głodu, strachu
i śpiew radości”.

Stoje drewna pamiętają nie tylko dawną mowę szumiących drzew, lecz także rozumieją język, który je teraz otacza. Tak rodzi się wspólnota świadectw i przestrzeni podzielanych wartości, a przedmiot przechodzi transformację, staje się arką, ratującą świat przed zniszczeniem. Tak powstaje pieśń o życiu i tak ocalony zostaje język, któremu groziła zagłada. Ten wiersz uruchamia na nowo pamięć, budzi ją z uśpienia, porusza wolę istnienia nakierowaną w przyszłość:

„Córko, jeśli zechcesz,
Starzec ten wiele ci jeszcze potrafi opowiedzieć i o moim
życiu”.

Wiara w sens podejmowania twórczych i poznawczych działań budowana jest przez Julię Hartwig na fundamentach metafizycznych. Wyniesienie człowieka poza jego doświadczalne tu i teraz wynika z przekonania, że głębia świata wytyczona została innymi, niż zmysłowo poznawalne, granicami, że naszym obowiązkiem jest wejść w tę głębię i czerpać z jej bogactwa. Bez takiej perspektywy nie byłoby możliwe odzyskanie sensu świata. A to w poezji Julii Hartwig dokonało się niczym „narodziny pięknej plamy zieleni”. Wylania się ona ze sporów i wątpliwości, rośnie na gruncie niepewnym, chybottliwym, ale przecież trwa. Wykładnią tego sensu jest sztuka, dialog artystów, którzy, niczym ów chłopiec uczepiony ulotnego liścia morwy, swoimi wizjami wciąż budują świat. To doświadczenie Julia Hartwig umie wspaniale przełożyć na język poetyckiej opowieści, mimo że to właśnie w sytuacji dialogu najwyraźniej i najmocniej zaznacza się dramatyczne poczucie odrębności i samotności człowieka prowadzące nierzadko do zwątpienia w sens twórczego wysiłku. Poeta musi zmierzyć się z tym doświadczeniem, powinien także chronić to, co kruche i narażone na odrzucenie:

„O, jakże was kochałam, rzeczy niekonieczne,
obrazy, słowa, kwiaty, urodziwe twarze,

każdą łękę kwitnącą, zachody i świty,
o jakże was kochałam, ponad siły prawie,
i jakże mnie gniewało to, że tak zbyteczne”.

Świata nie da się ocalić inaczej, jak tylko przez szacunek dla rzeczy zwykłych, czasami nawet błahych, codziennych. Pogarda dla rzeczy małych zrodzi w końcu pogardę dla całej rzeczywistości, dla życia i dla człowieka. I do tego poeta nie może dopuścić. Sztuka ma więc sens o tyle, o ile umie uchwycić wartość i znaczenie rzeczy najdrobniejszych, zbudować z nich zasadę istnienia.

Powierzchnia świata jest tylko jednym z wymiarów, które tworzą porządek rzeczy. Są jeszcze inne wymiary, pionera i poziomy. Na nich sprawdza się nasze istnienie. Ta wypełniona wieloma treściami głębia świata nierzadko przybiera w poezji Julii Hartwig obrazowy kształt snu. Sen jest więc kolejnym pograniczem istnienia, które przemierza poetka. To bardzo ważne dla niej pogranicze – tutaj objawia się to, co ciemne, niejasne i złe w każdym z nas, a o czym nie zawsze pamiętamy:

„Sen trzymał mnie w swojej władzy jak w zamknięciu, nie pozwalał się
ocknąć, chciał pokazać, jak potrafi być zły, wściekły, bezwzględny i jaką ma
nade mną władzę”.

Sen przypomina człowiekowi o śmierci, ukazuje pozostawione, niezatławione i nierozwiązane przez niego sprawy. W ciemnych tunelach snu przechodzimy wielką próbę bezsilności. Ale sen może być także wyzwoleniem z pychy i samozadowolenia, które fałszywie prowadzą nas za dnia. To w snach następuje nasza przemiana, tak jak w wierszu ma miejsce niezwykła metamorfoza przeżycia w liryczny kosmos. Na tym ciemnym pograniczu zachodzą więc rzeczy cudowne – dokonuje się odrodzenie, odstania się nowy kontur świata, bo „co jest wart wiersz, jeśli nie spełnia cudu?” – pyta Julia Hartwig. Bez tego cudu poezja jest martwa, traci moc źródła. Prawdziwie cudowna mowa poetycka, cudowna forma liryczna pozwala zatem odstąpić te warstwy naszego życia, które dla zwykłego oka są zastonięte. To jakże ważny proces sublimacji uczuć, narodzin sztuki. Poeta powinien o tym pamiętać i na tym żywym procesie opierać swoją sztukę:

„Wszak mówisz głosem za niemych słyszysz czego nie słyszysz głusi
Gdybyś jeszcze potrafił kochać wiedząc
Osiągnąłbyś pierwszy stopień męstwa bez którego również sztuka
Jest tylko marną namiastką”.

Poezja żywiąca się tylko samą materią słów nie zmienia w życiu człowieka nic, jest martwa i bezużyteczna. Chodzi o właściwe i znaczące wypełnienie wiersza, o styl rzeczywiście odstaniający współistnienie wielu poziomów życia. Aby taki sens ujawnił się i poetycko zaistniał, wystarczy czasami uchwycony zmysłami i przeobrażony wewnętrznie szczegół, jak choćby drzewo zauważone na górskim stoku. Ale do tego potrzeba odwagi nowego spojrzenia i nowego – odmieniającego świat – przedstawienia. Poeta musi przeciwstawić się mowie rozmywającej sens, wieloznacznie zaciemniającej wizerunek

świata, musi jej przeczyć, ścierać się z nią w imię przejrzystości i prawdy – doskonałych i poruszających. To jest wyzwanie, które nie zawsze łatwo przyjąć:

„Bo we wszystkim, co zdaje się przekraczać jego siły, chroni się człowiek w popłochu i trwodze.

Podobnie poeta, kiedy zaskakuje go wśród codziennych zajęć przecucie rzeczy,

Jakiej mógłby dokonać, wybiega pospiesznie z domu, byleby nie stanąć do próby sił, które wydają mu się zbyt wątłe.

A gdy zasiada wreszcie do kartki papieru i zdarzy się, że zobaczy prawdę w całej jej oślepiającej prostocie, waha się, czy ją wypowiedzieć”.

Wypowiedzieć – to znaczy użyć słów prawdziwych, takich, których nie da się zafałszować, zmienić i odwrócić. To jest fundament niezależności twórczej i danej człowiekowi w sposób naturalny wolności. Wiarygodne zdania są dla jej umocnienia niezbędne, oczyszczają świat ze zła, przywracają człowiekowi wiarę w sens życia, sprawiają – jak powiada poetka – „że znowu czuję pod stopami ziemię”. Poezja ma ten sens przywracać bezwzględnie, kierując się nakazem moralnym, ma być dla człowieka drogą prowadzącą do samorozumienia. W tym więc przejawia się obcowanie, budowanie wspólnoty i porozumienia. Granica między Ja i Ty jest dla Julii Hartwig granicą zbliżeń, granicą jednoczącą, o ile spełnia warunek prawdy. Tylko w ten sposób to, co bezkształtne, staje się kształtem, rozpoznawalną we wszystkim innym formą.

Julia Hartwig poznała smak zwątpienia aż nadto dobrze. Żyła w czasach złych i w czasach nijakich, w których smak życia roztopiał się w nicłość. Ratowały ją nierzadko z tego doświadczenia ironia oraz przekonanie o niezwykle ważnej i potrzebnej społecznie roli poezji. To ona – jak cała reszta sztuka – miała „po prostu być i trwać”.

Poetycki zapis (zdania budujące wersy prawdziwe) ma swoje źródło w nagłym i nieprzewidywalnym olśnieniu. To są błyski. W tomie *Obcowanie* znajdziemy taki cykl „błysków”, zdań, epigramatycznych całości tkwiących w głęboko w tym, co trwa i jest. Julia Hartwig potrafi dzięki nim precyzyjnie uchwycić sens. Zdania-błyski niczym okruchy składają się na jedną opowieść o tym, co istnieje – o rzeczach oraz wrażeniach, spostrzeżeniach, przywidzeniach i prawdach. W rozbłyskach potwierdza się realność świata i objawia się – choć nie zawsze – „wspaniała ludzka istota zdolna do wszystkiego”. To o nią przede wszystkim chodzi. To jej właśnie – ludzkiej istocie – Julia Hartwig przeznaczą w swoich wierszach tak dużo miejsca. Poetka skupia się na przeżyciach, miłościach, sprzeniewierzeniach i losach pośmiertnych. W arcytrafnym, ironicznym skrócie – w błysku – skreśliła Julia Hartwig całą przestrzenną drogę ludzkiego życia:

„O, strychy, nieba naszego dzieciństwa! Teraz pozostały nam już tylko piwnice”.

Tajemnicze mapy prowadzące do – wydawało się kiedyś – jakże odległych i niezwykłych miejsc, są ukryte w każdym z nas. Trzeba je tylko umieć wydobyć z depozytu pamięci, rozwiniąć i mieć przed sobą. Nie wszędzie jednak trafimy, nie wszystkie strychy przetrwały, wielu z nich po prostu już nie ma, zamieniły się w pył, spłonęły. Piwnice czekają i świat wciąż czeka i zaprasza:

„Furtka zaprasza nas, abyśmy weszli w ten krajobraz
I wzięli go na własność.
Jak w wielką salę wchodzisz przez tę furtkę,
Wiąż jest kolumną, która strop podpira”.

To początek wiersza zapraszającego do Kazimierza, do miejsca bliskiego i splatającego w pamięci wiele chwil w dobre wspomnienie. To miejsce – powiada Julia Hartwig – jest niezwykle, żyjące jednocześnie w różnych okresach, właściwie poza niszczącym czasem, przyjazne tym, którzy do niego wracają. Ale czy spokojny, harmonijny, pełen szczegółów opis Kazimierza nie jest po części opisem miejsca, którego nie ma, utopią, która ma nas uratować przed zniszczeniem w świecie przemocy, zapomnienia i zła? Można oczywiście i tak czytać ten wiersz albo dostrzec w nim kulminację tęsknot za nieosiągalnym szczęściem. Utopia to też granica, do której podążamy.

Długi jest katalog miejsc, które tworzą w wierszach Julii Hartwig obszar najcięższego z ludzkich doświadczeń – samotności u kresu życia. Ale czy tylko u kresu? To pytanie odsłania jeszcze jedną granicę, trudną do przekroczenia, chyba najtrudniejszą z tych wszystkich dotychczas wymienionych. Granica oddziela w nas to, co poznawalne, od tego, co niepoznawalne. Jesteśmy na tę graniczność skazani, związani z nią na zawsze, nawet wtedy, gdy uciekamy w świat utopijnej harmonii:

„Gdzie są te sny, w których znajdziemy pokrzepienie,
Gdzie tarasy pochmurnych zamków nad brzegami rzek
I gdzie niewy tłumaczone szczęście kołyszące nas jak rytm
Pociągu
W drodze do bezpiecznego schronienia, w którym nie mieszka
Potwarz ani nóż”.

Dla Julii Hartwig te pytania zawsze były ważne. Starata się – jak sama mówiła – wydobyć na powierzchnię, przełożyć na system czytelnych znaków to, co ciemne, co ukryte i trudno dostępne. Nie są to łatwe próby. Słowa nie chcą trwale wiązać się tym, co objawia się aż tak bardzo głęboko skryte pod powierzchnią życia. Słowa – zdarza się – krążą więc jakby bezradnie:

„Co zrobić ze słowami
pod które podstawia się żaden przedmiot żadna rzecz
nic czego można by dotknąć posmakować
na czym można by położyć spojrzenie
co można by związać z temperaturą człowieczeństwa
choćby słowo wieczność
sterylnie czyste zimne jak blask gwiazdy
które wiedzie nas w pustkę”.

Jesteśmy – mówi poetka – skazani na nieusuwalny lęk przed nicością. Ta ostateczna granica – granica nieprzekraczalna – niweluje przecież nawet czas. A jeśli wszystko, co mamy i kochamy, ma się obrócić w nic, to co jest ich sensem terazniejszym? Otóż w tym, co zjawia się przed oczami, w oddaleniach i przybliżeniach, w tym, co jasne

i niejasne, ale graniczące w naszej wyobraźni i naszym umyśle, jest niosąca uspokojenie pewność obecności. Tę pewność daje walka z nocą i samotnością, bo jeśli one zwyciężą, wtedy – „nie ma już pojednania”. Dlatego:

„Zrób sobie trochę więcej miejsca, ludzkie zwierzę.

Nawet pies rozpycha się na kolanach pana, żeby poprawić sobie legowisko, a kiedy trzeba mu przestrzeni, biegnie naprzód nie zwracając uwagi na przywołania”.

Iwona Smolka: W jednym z wierszy napisałaś: „Próbować, wciąż próbować”. Jest to, jak sądzę, zaczynanie wciąż od nowa. To wieczna młodość, Julio.

Julia Hartwig: Nie wiem, czy to ma coś wspólnego z młodością. Może to stwierdzenie jest raczej znakiem dojrzałości? Nie spieram się jednak, bo bardzo podoba mi się twoja interpretacja.

Iwona Smolka: Myślę, że najnowsze wiersze mają zupełnie inny ton niż twoje wcześniejsze utwory. Ostatnio dochodzisz do pewnych granic i pytań, których wcześniej nie zadawałaś. Wcześniej w twojej poezji myślenie symboliczne przeplatało się z konkretnym. W tej chwili symbol okazuje się konkretem – nieopięta i nieodgadniona rzeczywistość staje się tu i teraz.

Julia Hartwig: To nieuniknione, że poeta trochę się zmienia, nawet jeśli nie ulega zmianie jego przekonanie o tym, co ma pisać. Wraz z upływem czasu różnicuje się jednak tematyka wierszy, o ile w ogóle można mówić o temacie utworów poetyckich. Moje wcześniejsze wiersze są obrazowe, opierają się na impresji, dotyczą spotkań z ludźmi, przedstawiają krajobrazy, choć nigdy nie tworzyłam pejzażu dla samego pejzażu. To zawsze czemuś służyło. Myślę, że mamy prawo pisać według wysłanianego pytania: „co poeta chciał nam powiedzieć w wierszu?”. Nie lubię tego, ale kieruję się tą zasadą, zgodnie z którą poeta ma coś powiedzieć w wierszu. Moje poczucie odpowiedzialności za przekaz wzrasta. Wydaje mi się, że powinnam powiedzieć więcej o świecie, w którym żyję. Tom *Jasne niejasne* jest zaczątkiem tego projektu – nie wiadomo, czy zdążę go rozwinąć. Poezja to znak mojego stosunku do życia – nie zawsze pozytywnego, ale istniejącego, realnego – oraz znak jego relacji do sztuki.

Przed przeczytaniem kolejnego wiersza muszę zrobić małą uwagę. Modny współcześnie filozof, Theodor Adorno, twierdził, że po Holokauście poezja nie może już istnieć. Rozumiem go, a równocześnie sprzeciwiam się tej opinii. Rozumiem, bo sztuka nie jest w stanie wyrazić krańcowego okrucieństwa i kompletnego zniszczenia. Nie dorównuje ona opisem także bardzo szlachetnym uczuciom. Musimy jednak, pomimo niedoskonałości wyrazu poetyckiego, odpowiedzieć sobie na pytanie i uświadomić sobie, jak Holokaust ma się do świata ludzkiego. Myślę, że naszą potrzebą jest to, żebyśmy tych pomordowanych ludzi zobaczyli jeszcze żywych. Okazuje się to możliwe jedynie dzięki mądrym zapisom, wizjom, bolesnym poetyckim spotkaniom z czasem. A teraz wiersz:

Ja wspomnień tych się boję

„Noc ledwo śmie to spełnić
sen ledwo to potrafi
wchodzimy przez próg zgliszczy przez mury lat wyniosłe
zaledwie pomyśleli już myśl im się poddaje
w biegu się uzupełnia przybiera rysy znane
kochany wciąż cię kocham kochana jestem blisko
tu leżę a tu tańczę a tu za oknem frunę
och to jest najłatwiejsze odkąd cię znowu widzę
już nie żal że mnie wzięto już nie żal że płakałeś
tak w tajemnicy będziesz ty ze mną a ja z tobą
ach drżałam czy mnie poznasz bałam się czy usłyszysz
frunę i są szczęśliwi a ona w kuchni siedzi i matka mówią
córko od kogo są te kwiaty
noc ledwo śmie to spełnić
sen ledwo to potrafi
zaledwie pomyśleli już myśl im się poddaje
miasteczko mówi wracam i przeszłość znów się staje
ja wspomnień tych się boję ja wspomnień tych nie pragnę
lecz pamięć działa teraz jak dobroć zaraźliwa
ach jestem znów w dzieciństwie i jestem tam szczęśliwa
miasteczko Tora cerkiew ja nic już nie rozumiem
Ach trzymaj mnie bo frunę ja to od ciebie umiem
bo jestem znowu z tobą i są tu nas tysiące
czy chciałeś by tu przyszedli czy to nie krępujące
usiądnijmy tu w ciemności weź mnie za rękę drogi
noc ledwo śmie to spełnić
sen ledwo to potrafi”

Przygrywka

„Szurnęło suchymi liśćmi
zwiąło je między złożone skrzydła białych krzesel
i włoska muzyka pogody zamilkła w pół taktu
Zahuczało ciemnym szaleństwem na klasycznym niebie
Pamiętasz? Deszcze zmyły pamięć żeby nie bolało
wiatr zmieszał słowa by nic nie zostało
A jednak to skomlenie Biedne małe szczenię
Szurnęło suchymi liśćmi”

Przemija postać tego świata

„Zawsze chcieli wiedzieć
co z tą świadomością się stanie.
»Zmarli święci nie wiedzą, co czynią żywi,
nawet tego, co czynią ich własne dzieci«
powiedział święty Augustyn.
Okrutne rozdzielenie.
Skąd więc tyle w nas pewności,
że przebywają wśród nas umarli.
Nędza naszego stanu nie jest pociągająca.
Kto raz odszedł, nie zapragnie wrócić.
Ale my nie umiemy sobie wyobrazić nic szczęśliwszego
nad ten świat, który kurczowo trzymamy w objęciach”

Przyzwolenie

„Oduczyliśmy się śpiewać
Oduczyliśmy się płakać

Płakali przy powitaniu Zan i Domeyko
w strumieniu łez anielskich stał po kolana Słowacki

Płakali obejmując się pierwsi chrześcijanie
nie wstydziła się też ewangeliści
ani święty Piotr

Płacz Jeruzalem!
Płaczcie nad rzekami Babilonu!

Polaty się łzy me czyste rzęsiste

O męskie łzy
w zapierającym dech przecuciu
że nie dana nam będzie wieczność obcowania”

Via Condotti

„Siedzieli obaj tu
w kawiarni Greco
Turowicz i Miłosz
Turowicz znał wiersze Miłosza na pamięć
A Miłosz wiedział: taki nigdy nie będę

Na ścianie kawiarni wisi zdjęcie poety
Kto to jest? pytają amatorzy kawy
A my wiemy że byli tu obaj
opisani w wierszu »Kawiarnia Greco«

Bywali tu przed nimi spiskowcy i poeci
Norwid Casanova Stendhal Byron Goethe
Wracali z Forum Romanum
i z rozedrganej upałem Ostii

Żebyś siedział tu nie wiem jak długo
nie wymyślisz jak to upamiętnić
Wypij swoją kawę zapłać
i wróć na via Condotti”.

Iwona Smolka: W jednym z wierszy napisałaś: „Jakże ten Norwid boli” i dodałaś „Genialny parafianin”. Zachwycają mnie te znakomite poetyckie skrótory określające człowieka, jego twórczość i twój do nich stosunek. Często przywołujesz życiorysy postaci takich jak Henri Michaux, André Breton i wielu innych i podsumowujesz je celnym błyskiem. Twoja refleksja im poświęcona jest zawsze głęboka i prawdziwa. Julio, przeczytaj proszę jeszcze kilka wierszy.

Julia Hartwig:

Victoria

„Dlaczego nie tańczyłam na Polach Elizejskich
kiedy tłum wiwatował na cześć końca wojny?
Dlaczego to nie ja rzuciłam się w ramiona temu marynarzowi
który schodząc z trapu z płóciennym workiem na ramieniu
biegł ku mnie przepychając się przez rozgorczkowany tłum
gdy z wszystkich megafonów dobiegały już
rozszałałe dźwięki bebopa
na przemian z Marsylianką i hymnem Boże strzeż Królowej?

Dlaczego nie rozbiłam butelki szampana
w pobliżu ich obu ubranych jeszcze w angielskie mundury
i nie przeczuwających że kiedyś stanę u końca ich drogi?

Dlaczego pisane mi było żebym na głównej ulicy Lublina
na widok wchodzących oddziałów z czerwonymi gwiazdami
plakała z radości że nie usłyszę już znieawidzonego: Raus! i Halt!
i z szarpiącego żalu że jest to cena za utracone marzenie
o triumfalnym wjeździe bohatera na białym koniu
i o powrocie tych którzy podwójnie oszukani
tu już wracać nie chcieli

Stanęliśmy więc – ci się zachowali –
na ulicach obróconej w pustynię Warszawy
i dziś po latach odnajdujemy tam siebie
trudnych do rozpoznania
na wyblakłych taśmach starych kronik filmowych”

Blues

„Zanim jeszcze
Przeczytaj jednak tę przypowieść
O tak
Przeczytaj

I nie zapomnij wrócić tam gdzie
O tak
nie zapomnij tam wrócić

Spróbuj zrozumieć to czego wówczas
o tak
spróbuj zrozumieć

I nie zaniedbaj zniszczyć tego
co wiesz
O tak
nie zaniedbaj

I posłuchaj tego kwartetu
co wtedy
O tak
posłuchaj

bo to przychodzi tak niespodziewanie
to przychodzi
o tak
tak niespodziewanie”.

A teraz krótki wiersz (może programowy?):

Jest i tym

„Sztuka jest zaklinaniem istnienia
żeby przetrwało
ale jej przestrzeń rozciąga się na niewidzialne
I jest inteligencją która żywoły skłócone
zjednuje podobieństwem
Jest rzeczą dzielną
bo szuka nieśmiertelności
będąc – jak wszystko – śmiertelną”.

I coś dla rozrywki:

W podróży

„Ogromne niebo nad Nowym Jorkiem
Ale nikt nie patrzy na niebo
Zaśmieconą ulicą Brooklynu idzie ciężarna dziewczyna
i ciężarna kobieta
Cała ulica ciężarnych kobiet i dziewcząt

Ulicą Brooklynu pełną straganów
idzie swingujący Murzyn
za nim drugi swingujący Murzyn
cała ulica swingujących Murzynów

Na chodniku Brooklynu wyładowuje towar
Wesoły hiszpański szofer
cała ulica wesołych hiszpańskich szoferów
Ulicą Brooklynu idzie z rozwianą brodą
w czarnym kapeluszu i białych pończochach
młody chasyd niewidzący nikogo ani niczego

za nim stary chasyd gwałtownie gestykulujący
cała ulica młodych chasydów niewidzących nikogo ani niczego
i starych chasydów gwałtownie gestykulujących

Pod zbiornikiem na śmieci bezdomny przepasany sznurkiem
w wełnianej czapce na głowie zajada całkiem apetycznego sandwicza
obok inny bezdomny patrzy na jego sandwicza łakomym okiem
cała ulica bezdomnych z sandwiczem
Cała ulica bezdomnych popatrujących na sandwicza łakomym okiem

Ulicą Brooklynu idzie rozglądając się dokoła
cudzoziemka przybyła z Polski w odwiedzinach do córki
cała ulica cudzoziemek z Polski przybyłych w odwiedzinach do córki"

Dowód na istnienie

„Wszystko pogubiłam
nie ma już nic
miejsca straciły swoje miejsce

Więc nic?

Jednak po zagubieniu
jednak po oczyszczeniu
zostaje
niewyobrażalne

i komuś czy czemuś
o tym wiadomo"

Z głową odwróconą

„Kiedy już wszystko minie, kiedy nacieszę się już tym, co mnie raduje,
że jest i trwa, chciałabym być posągami patrzącym w morze,
bez imienia, bez nazwy, stojącym z głową odwróconą od wszystkiego, co nudzi i trapi.
Za plecami mieć ciemność, przed sobą rozświetlone niebo,
ruchliwe światła na wodzie, na kamiennej twarzy czuć
południowe ciepło”.

Bezczas

„Wytrzymać tydzień
wytrzymać rok
wytrzymać trzydzieści a potem siedemdziesiąt lat

Ale były lata których nikt nie liczył
królewskie
kiedy bawiliśmy się pod starymi dębami
i wieczność była przy nas”.

I jeszcze dwa wiersze:

Którzy odeszli

„To prawda Już nie są z nami
Są w miejscach które sobie wybrali

Jednego znajdziesz tam
gdzie wsparty o łaskawą skałę
spogląda na Neapol w cieniu Wezuwiusza
Le veuf l'inconsolé, wieczny wdowiec po tej
która podźwignąc życia nie zdołała

Dla świata był surowy
Niewdzięczna to była miłość i do przyjęcia trudna
Lawa co nieustannie wrze w niegasnącym wulkanie
była mu siostrą w gniewie i nieprzejednaniu

Ześlij mu więc Boże chłód oliwkowego drzewa nad głową
odpuść zatwardziałość
i obdarz łaską miary sprawiedliwej

Drugiemu zaś sprzyjaj szczęśliwie
w wyprawie po słoneczny blask Partenonu
pozwól mu pożeglować na Kretę swoim niebieskim statkiem
uwolnij labirynt z potwora i na jego cześć
odpuść Tezeuszowi zdradę Ariadny

Postaw też przed nim dzban z nektarem greckich winnic
przywróć zmysł węchu by poczuł zapach pieczonych mięs i tamaryszku
zbudź słuch ażeby mowa przewędrowanych krajów
znów radowała jego uszy
Zaufaj mu Zawsze umiał podróżować samotnie"

Na cześć Monteverdiego

„Kiedy straszna zaraza wyniszczyła w Wenecji pięćdziesiąt tysięcy ludzi
a starość zbliżała się nieubłaganie
odstąpił swoje miejsce organisty w kościele świętego Marka młodszemu koledze
schronił się w klasztorze i porzucił komponowanie

Gdy jednak przez lat dziesięć śmierć nie nadchodziła
wrócił do muzyki i skomponował *Selva morale e spirituale*
a także nowy cykl madrygatów
które płyną teraz przez moją bezsenność noc
jak jasna barka pełna rozśpiewanych duchów”.

Iwona Smolka: Julio, serdecznie ci dziękuję, dziękuję także państwu.

Julia Hartwig: Ja również bardzo dziękuję.

**Jubileusz literacki Julii Hartwig odbył się 21 października 2009 roku
w Domu Kultury Śródmieście w Warszawie.**